

**ZOFIA
ŻURAKOWSKA**

POŻEGNANIE
DOMU

Zofia Żurakowska

Pożegnanie domu

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=23553386

Pożegnanie domu: Fundacja Nowoczesna Polska;

Аннотация

Wojna! – powiedziała zdyszana Marta – będą się wszyscy zabijać. Powrót do Niżpola w dużo mniej sielskich okolicznościach. Mali Charłęscy wciąż przeżywają dziecięce przygody, beztroskę Skarbów zdmuchnął jednak wiatr wielkiej historii. Zofia Żurakowska pokazała I wojnę światową z nietypowej perspektywy: widzianą oczami dzieci. Dobrze wiedziała, o czym pisze, w końcu Niżpol to literackie odbicie jej rodzinnego Wyszpola. Lektura obowiązkowa dla każdego, kto chce wiedzieć, co czytała młodzież w okresie 20-lecia międzywojennego. Książki Zofii Żurakowskiej, choć dziś zapomniane, cieszyły się wtedy dużą popularnością. Po II wojnie zostały usunięte z bibliotek przez cenzurę i przez pewien czas nie były wznawiane. Pożegnanie domu, to druga po Skarbach część nieukończony trylogii opartej na wspomnieniach autorki. Trzecia, Nieporozumienie, nie wyszła poza sferę notatek – Zofia Żurakowska zmarła w 1931 roku na gruźlicę. Na jej nagrobku widnieje napis: autorka Pożegnania domu.

Содержание

Część I. Pożegnanie domu	5
Rozdział I. Morze ciche	5
Rozdział II. Morze spienione	9
Rozdział III. Inaczej – nie	14
Rozdział IV. Muzyka wojskowa	19
Rozdział V. Różne poglądy na pakowanie i rozpakowywanie	26
Rozdział VI. Powitanie domu	31
Część II. Wuj Dymitr	35
Rozdział VII. Sprawka wuja Dymitra	35
Rozdział VIII. Dyplomatyczne zapytanie	46
Конец ознакомительного фрагмента.	50

Zofia Żurakowska

Pożegnanie domu

Tam skarb mój, gdzie serce moje

*Moim towarzyszom niedoli, dzieciom z Rusi, którym
wydarto Dom i Ziemię, książkę tę poświęcam.*

*— A jeśli komu droga otwarta do nieba, tym co służą
Ojczyźnie —*

Część I. Pożegnanie domu

Rozdział I. Morze ciche

Dno morskie jest twarde i gofrowane.

Przy pierwszej kąpieli Ania twierdziła nawet, że jest za twarde i że ją nogi bołą. Powiedziała do panny Marii:

– Nie masz pojęcia, panno Mario, jak mnie te podeswy bołą! Ale chłopcy ją wyśmieli.

– Ono pozornie tylko jest twarde – wyjaśnił Nik – ale poskrob palcem, a zobaczysz, jakie jest jedwabiste. Nie ma na świecie piasku bardziej jedwabistego niż na dnie morza.

Naturalnie więc Ania od razu uznała, że piasek na dnie morza jest bardziej jedwabisty niż gdzie indziej, bo Nik przecież zawsze wiedział, co mówił.

Pierwszy to raz w życiu Olek, Marta, Nik, Tom i Ania byli nad morzem. Zdawało się im dawniej, że doskonale znają morze z książek i z opowiadań ciotecznego rodzeństwa, Reni i Alego, którzy co roku spędzali parę miesięcy nad oceanem. Często nawet, w polu, patrząc na daleki siny rąbek lasu, Nik przymrużał oczy i mówił: „Tak właśnie musi wyglądać morze z daleka” – a w lecie, kiedy jezioro Niżpolskie wysychało trochę i robiła się plaża, bawili się w rybaków i połów śledzi.

Ale morze to było naprawdę zupełnie co innego. Kiedy po

długiej i uciążliwej drodze, z Wołynia do Połagi¹, po raz pierwszy wyszli na plażę i spojrzeli w bezmiar fal świecących w słońcu, wieczyste ruchliwych, a tak czarująco wesołych, przez dłuższą chwilę nie byli w stanie przemówić. W końcu Nik powiedział:

– Wolałbym, żeby było spienione.

– Ba! Przecież to morze, nie ocean – rzekł Tom – i w dodatku wcale nie ma wiatru, więc skąd się ma pieniść?

– Sam czytałeś w przewodniku, że w lipcu Bałtyk jest spokojny i gładki jak staw – dodał Olek – za to na wiosnę zobaczyłbyś dopiero!

– Na wiosnę, to nawet jezioro w Niżpolu się pieni – rzekł z pogardą Nik – gdy dorosnę, zostanę marynarzem i nieraz zobaczę burzę na pełnym morzu i na oceanie.

Ta przyszłość niedaleka ogromnie go pocieszyła i zaraz morze zaczęło mu się bardzo podobać. Można sobie wyobrazić, że się wcale nie kończy – myślał, patrząc przymrużonymi oczyma na drgającą powierzchnię wody. Nigdzie się nie kończy... nigdzie...

Do Połagi przyjechali tylko z matką i panną Marią, pan Charłęski nie mógł bowiem opuszczać Niżpola w lecie, w czasie zbiorów.

Zajęli białą willę nad samą plażą i rozpoczęło się życie najbardziej urocze, między niebem, piaskiem a wodą.

Wkrótce cała gromada, spalona na słońcu, wyglądała jak plemię afrykańskich Murzynów, a panna Maria twierdziła

¹ *Połaga* (lit. Palanga) – miasto na zachodzie Litwy, położone nad Morzem Bałtyckim, znany kurort nadmorski. [przypis edytorski]

stanowczo, że nie będzie miała odwagi wieźć z powrotem, przez cały kraj, takiego zastępu dzikich ludożerców.

Dnie płynęły tak do siebie podobne jak fala do fali. Wszystko przestało istnieć, poza tą przepaloną słońcem Połagą. Niżpol rozpląnął się w przestrzeni: ojciec, mieszkańcy Hołowina i wszyscy inni ludzie przestali istnieć. Zaledwie otwierało się nadeszłe listy, aby roztargnionym rzucić na nie okiem, a już gazet matka wcale nie brała do ręki.

Prawie co wieczór, przed zachodem słońca Olek z Nikiem szli na spacer, po plaży, w stronę granicy pruskiej. Panna Maria o tej porze kładła spać Anię i Toma, a matka siadała z Martą na stopniach balkonu willi i patrzyła w czerwono płonące fale.

Olek z Nikiem szli po mokrym, twardym piasku, hen, aż do miejsca, gdzie na granicy nieszkodliwie groźny żołnierz rosyjski przestrzegał ich, że dalej „nie lzia²”.

Dnia tego szli i szli bez końca, tak zatopieni w rozmowie, iż nie widzieli nic wokoło.

Nagle Nik odwrócił się, spojrzał i rzekł:

– A wartownika dzisiaj nie ma!

Olek aż oniemiał ze zdziwienia.

– A to dopiero! – wykrzyknął – gdzie się podział?

– Ładny żołnierz, nie ma co mówić!

– Moglibyśmy tak dojść aż do Memla³ – powiedział Nik z

² *nie lzia* (z ros.) – nie wolno. [przypis edytorski]

³ *Memel* – Kłajpeda; miasto na wybrzeżu Morza Bałtyckiego, dziś w zach. części Litwy, w okresie przed I wojną światową wraz z Prusami miasto włączone było do

zadowoleniem.

– Ba! A granica pruska? Myślisz, że Prusacy tak samo jej pilnują jak Moskale⁴? Nie ma obawy. Lepiej wracajmy, bo nas jeszcze tu przyłapią.

Zawrócili tedy i szli, milcząc, w kierunku Poługi. Nikowi wydało się nagle bardzo głupie, że ludzie pokrajali sobie ziemię w kawałki, na tych granicach postawili straż i nie przepuszczają się wzajemnie bez jakichś specjalnych ceremonii, Bóg wie, po co to wszystko!

W połowie drogi wpadła na nich Marta, czerwona, z rozwianymi włosami. Z daleka już krzyczała coś, czego nie można było zrozumieć.

W końcu zrozumieli – mówiła, że jest wojna.

– Co, znowu za wojna! – rzekł niedowierzająco Olek.

– Wojna! – powiedziała zdyszana Marta – będą się wszyscy zabijać.

zjednoczonych w l. 1866–1871 Niemiec (II Rzeszy). [przypis edytorski]

⁴ Moskale (pot., pogard.) – Rosjanie. [przypis edytorski]

Rozdział II. Morze spienione

– Nie wiem doprawdy, dlaczego taki się popłoch zrobił w tej głupiej Połudze – mówił Olek, siedząc na kupie piasku – wszyscy latają jak podsmoleni, a na plaży nie ma żywego ducha. Ogromne wrażenie robi ta wojna na wszystkich niańkach i mamkach; zupełnie jak gdyby to ich niemowlęta miały iść na front! I nie rozumiem, dlaczego mama chce zaraz wracać do Niżpola?

– Jak to nie rozumiesz! – wykrzyknął Nik, który był podniecony bardziej jeszcze od owych mamek i nianiek – czyż nie widziałeś okrętów niemieckich płynących w stronę Libawy⁵? Jeśli ją zajmą, to którédy wrócimy do domu?

– Phi! Nie zajmą tak od razu – rzekł niedbale Olek, wierząc patykiem dziurę w piasku.

Właściwie Olek udawał obojętnego dla szyku. Wydawało mu się w bardzo dobrym tonie być zimnym i cynicznym, wśród tego tłumy wzruszonych i przerażonych kobiet i dzieci. W gruncie rzeczy sam był głęboko przejęty i ciągle obliczał w duchu, ile lat musiałaby trwać wojna, aby i on mógł w niej wziąć czynny udział.

– Mógłbym pójść do wojska mając lat... szesnaście... no, siedemnaście ostatecznie, a że mam czternaście, więc jeszcze

⁵ *Libawa* – Lipawa miasto na Łotwie, w Kurlandii, nad Morzem Bałtyckim, po trzecim rozbiore Polski i upadku księstwa Kurlandii przyłączona do Cesarstwa Rosyjskiego, stała się jednym z najważniejszych portów rosyjskich i węzłem komunikacyjnym (kolejowym); podczas I wojny światowej Lipawa była okupowana przez Niemcy. [przypis edytorski]

dwa, trzy lata. Psia kość, najwyżej przecież będzie trwała pół roku – zakończył głośno, z goryczą.

– A ja mam nadzieję, że nas zaraz wezmą – powiedział Nik – jesteśmy przecież duzi i mocni. Ale wiesz, co ci powiem? nawet nie wiem, czy bym tego chciał... bić się w szeregach rosyjskich... Hm... Wiesz co? Uciekajmy do Francji.

Olek wcale się nie zdziwił tym, że Nik odpowiedział na to, o czym on myślał – przecież zawsze tak było. Natomiast rozgniewał się i nazwał go głupcem.

– Właśnie! Bardzo Francuzi potrzebują takich jak ty smarkaczy – (Nik miał dopiero dwanaście lat). – Na pewno bez nas nie dadzą sobie rady. Może nawet powierzą nam dowództwo armii...

Tom zaś naprawdę nie przejmował się niczym. Powiedział na samym początku, że: „to mnie nic nie obchodzi, bo to przecież nie polska wojna” – i dalej budował swoje zamki z piasku, na szczytach których zatykał biało-amarantowe flagi. Dotrzymywały mu placu Ania i Marta, choć ta ostatnia często zakłócała jego spokój westchnieniami pod adresem wojny. Mówiła na przykład:

– Mój Boże, czy też tu czasem nie przyjdą Niemcy! – albo – Co też papo sobie myśli o nas w Niżpolu? Pewno bardzo się niepokoi!

– Nie niepokoi się! – mówił chłodno Tom. – Przecież mama depeszowała. Gdzie wtykasz tę chorągiew? Przecież tam jest babka z piasku, a nie baszta!

Wszystko to razem nie trwało długo, bo już w tydzień po wypowiedzeniu wojny ruszono z powrotem do Niżpola.

Ten powrót zupełnie nie był podobny do przyjazdu. Z Libawy do Połagi było około **stu** kilometrów, którą to drogę, pierwszym razem, przebyto automobilem. Ale teraz, przy wyjeździe, nawet mowy nie mogło być o zdobyciu auta. Z trudem wielkim i za ogromną cenę udało się wynająć starą, rozklekotaną landarę, z wiadrem przywiązany między osiami i tobołkiem siana w koźle, i wózek, który Żyd właściciel nazywał ozdobnie bryczką na resorach. Około czterdziestu podobnych landar i wózków ruszyło o godzinie czwartej rano w kierunku Libawy.

Mimo tragizmu chwili i grozy okrętów, których zamglone kadłuby widniały na horyzoncie morza, pielgrzymka ta na oko przedstawiała się nader komicznie.

Jakaś potężna jejmość, tkwiąca na szczycie przeróżnych tobołków, wołała donośnym głosem, do osoby umieszczonej w głębi powozu: „Sto razy mówiłam Genowefie, żeby nie pakować maszynki do worka. Ja siedzę na maszynie. Czy przynajmniej Genowefa wylała spirytus?” – Zza budy landary doleciał jakiś słaby pomruk.

Jejmość krzyczała dalej: „Jeśli maszynka okaże się zgnieciona, to na czym Genowefa zagrzeje mleko dla Jacusia? Pytam się: na czym? Na czym? Co? Gdyby Genowefa zapakowała maszynkę do pudła, to nie siedziałabym teraz na maszynie!”.

Jakiś pies oszalały z trwogi biegał od landary do landary,

od wózka do wózka, wskakiwał paniom na kolana, obwąchiwał dzieci i z żalnym skomleniem pędził dalej, w poszukiwaniu swego pana.

Wkrótce zrobiło się już tak gorąco, że cały ten tłum, podniecony i ożywiony niezwykłością tej gromadnej wyprawy, przygasł nieco i ucichł. W głębi pojazdów chwiały się na sennych głowach zbakierowane kapelusze, dzieci pozasypiały na rękach spoconych nianiek, nawet konie drzemały, wlokąc się na zgiętych nogach. Stare, wychudłe konie, obojętne i zrezygnowane. Tylko Żydzi, furmani, nie tracili werwy i szwargotali bez ustanku, batami pokazując sobie w stronie Libawy coś, czego nikt nie mógł dojrzeć.

Olek i Nik, poczuwszy, że ich ogarnia senność, wyskoczyli z wózka i szli obok piaszczystą ścieżką, mimo że pot ściekał im z czoł. Chcieli jednak ćwiczyć się w wytrzymałości i sile w tej dobie wojennego zapału.

Tom popierał ich w tym postanowieniu, w nadziei dłuższego samotnego wypoczynku na wąskiej ławce bryczki. Tom nie lubił ścisiku, szczególnie w czasie upału.

Trzy razy popasano⁶ w ciągu dnia tego. Za każdym razem Olek i Nik rozwijali cały zasób swej pomysłowości i sprytu. Nik szczególnie zyskał sobie ogólne uznanie sposobem, w jaki umiał błyskawicznie rozpalić ognisko, a Marta zachwyciła kilka sentymentalnych pań swą umiejętnością pomagania pannie

⁶ *popasać* – robić postój w podróży, szczególnie konno (na takim postoju konie dostają paszę). [przypis edytorski]

Marii. W ogóle cała piątka naszych dzieci, czysta, skrzętna i świeża, mimo upału, kurzu i ogólnego zamieszania, podobała się bardzo wszystkim wokoło i od razu zyskała przyjaciół. Ów pies, który zagubił swego pana, z wielkim zaufaniem pozostał przy ich ognisku, a pani, która siedziała na maszynie i nie miała wobec tego na czym zagrzać mleka dla Jacusia, raz po raz wołała grzmiącym głosem, wychylając się w kierunku pani Charłęskiej:

– To jedno drogiej pani powiem, że gdybym miała takie dzieci, nie dbałabym o resztę.

Matka uśmiechała się uprzejmie, ale Nik czytał z jej miny, że nie widzi powodu, dla którego miałyby nie dbać o resztę. Przecież „reszta” to był ojciec, Niżpol, Polska, ludzie...

Gdy słońce kładło się w morze, wyjechano znowu z lasu na plażę, już pod samą Libawą.

Wieczór zrobił się niespodziewanie chłodny i tak wietrzny, że morze, z nagłą uroczyste i groźne, wyrzucało na piasek brzegu białą pianę, a było koloru szmaragdowego.

Olek powiedział do Nika:

– Ot masz! Pieni się.

– Tak – rzekł Nik smutno – ale cóż z tego, skoro wyjeżdżamy.

Ale w tej chwili obaj umilkli, bo zobaczyli nad Libawą brunatne kłęby wijących się dymów spalonego portu.

Rozdział III. Inaczej – nie

Okazało się, że pani z Genowefą i Jacusiem jechała także w kierunku Żytomierza. Z wieczora zaklinała panią Charłęską na wszystkich świętych, ze świętym Gaudentym włącznie, ażeby trzymały się razem.

– Trzymajmy się razem, droga pani – mówiła tak głośno, że za granicą pruską było słyhać – trzymajmy się razem, to jedno drogiej pani powiem, będzie nam raźniej.

Ale pani Charłęskiej i tak było zupełnie rażno i wcale nie miała ochoty trzymać się razem z hałaśliwą jejmością, która szerzyła wokół siebie postrach i zamieszanie.

Na stacji w Libawie okazało się, że pociąg odchodzi dopiero nazajutrz rano, cała więc karawana rozpierzchła się w poszukiwaniu noclegu.

Pani Charłęska z trudem wielkim zdobyła jeden pokój – w żydowskim hoteliku przy stacji. Pokój ów, z dziurawą podłogą i pozaciekanym sufitem, zawierał tylko jedno łóżko, ale Żyd gospodarz zapewnił panią Charłęską, że „panicze, uni sze mogą prześpić na kanapie, un jest bardzo porządny, ten kanap, na moje sumienie, w nim nima żaden owad!”.

Chłopcy spali tedy we trzech na jednej kanapie, a spali tak mocno, że nie przeszkodził im nawet liczny „owad”, który wbrew twierdzeniom Żydka zaznaczył swoją obecność w sposób dotkliwy i widoczny.

O szóstej rano już pani Charłęska z dziećmi była na stacji. Okazało się jednak, że trzeba było przyjechać jeszcze wcześniej, gdyż cały peron już zatłoczony był publicznością, kuframi, tobołami i żołnierstwem. A gdy pociąg podszedł, zrobiło się istne piekło – panie, czerwone i nieprzytomne, wywijały parasolkami w prawo i lewo, niańki używały łokci i kolan jak taranów, dzieci wrzeszczały, a strojni i wykwintni oficerowie rosyjscy, spokojnie, ale bezwzględnie usuwali wszystkich ze swojej drogi, dążąc do wagonów wojskowych.

Zdawało się przez chwilę, że absolutnym niepodobieństwem jest wsiąść do tego zdobywanego szturmem pociągu. Pani Charłęska usunęła się z dziećmi na stronę i czekała, pełna niepokoju, odpowiedniej do działania chwili.

Jakoż, gdy zgorączkowany tłum wdarł się do wnętrza wagonów, uspokoiło się znacznie i okazało, że nie jest aż tak beznadziejnie ciasno. Przy pomocy jakichś uprzejmych panów, pani Charłęska wsiadła z całą swoją gromadką, a nawet po pewnym czasie wyszperała miejsca siedzące dla Marty, Ani i panny Marii; chłopców zaś umieściła w korytarzu na kuferkach.

I pociąg ruszył.

Obok chłopców, oparci o futrynę okna stali dwaj młodzi oficerowie, tak strojni, jak gdyby wprost z parady wojskowej dostali się do tego natłoczonego pociągu. Jeden z nich, niższy, z oczyma czarnymi jak smoła, a błyszczącymi jak żuźle, mówił wciąż głosem podnieconym, gestykulując żywo. Co chwila wysuwał głowę przez okno i wołał coś do żołnierzy, którzy

zapełniali setki towarowych wagonów, z wolna wyprzedzających pociąg. Mówił do towarzysza swego po francusku, a chłopcy słyszeli każde słowo – mówił o cudownej misji, jaką ma spełnić Rosja, stojąca na straży sprawiedliwości i równowagi świata. Cóż znaczy Francja, słaba, zniewieściała! Zepsuta do gruntu! Czymże jest Anglia do wojny nieprzygotowana, zawsze egoistyczna i samolubna! Biada światu cywilizowanemu, nad którym zawisła pięść Teutonów⁷! Ale oto na straży pokoju i sprawiedliwości stoi ona – Rosja! Spokojna, potężna, mądra! I ona to skruszy miecz pychy pruskiej!

Towarzysz młodego oficerka, smukły i wyniosły człowiek o pięknej twarzy i przymkniętych oczach, słuchając tych patetycznych słów, uśmiechał się jakoś niepokojąco. W końcu rzekł uprzejmie.

– Tak pięknie mówisz, poruczniku, że aż serce rośnie. Tak, tak, właśnie miecz pychy pruskiej! I ta Rosja święta, stojąca na straży sprawiedliwości!

W tej chwili oczy jego padły na twarz Nika, skurczoną złowrogo. Przypatrzył mu się uważnie, z zaciekawieniem, a usta jego uśmiechały się ciągle trochę drwiąco.

Czarny oficerek zwrócił się również w stronę chłopców i płonąc entuzjazmem, wykrzyknął:

– Jakąż podniosłą przeżywamy chwilę, nieprawdaż, młodzi przyjaciele? I wy pewnie chcielibyście wstąpić do wojska!

Nastąpiła chwila ciszy, po której Olek spokojnie i głośno

⁷ *Teutoni* – tu przen.: Niemcy. [przypis edytorski]

powiedział:

– Nie.

– Aaa... – zdziwił się oficer, a twarz mu poczerwieniała.
– Cóż za oryginalni chłopcy! A co? Może byście chcieli do marynarki albo aeroplanów? W Moskwie wszyscy chłopcy chcą do wojska, a wy nie? Czemuż tak?

– Bo tak! – powiedział Olek z pogardą. – My nie chcemy do rosyjskiego wojska.

– Ot jak! – zawołał z gniewem oficer. – A do jakiegoż, jeśli wolno wiedzieć?

Ale w tej chwili towarzysz jego położył mu rękę na ramieniu i rzekł stanowczo:

– Zostaw, Sierioża, wolno tym chłopcom mieć własne przekonania i tajemnice.

Nik przerwał mu szorstko:

– To nie są żadne tajemnice, wszyscy mogą to wiedzieć, że jesteśmy Polakami i tylko za Polskę oddamy życie chętnie. Inaczej nie.

Oczy pięknego oficera podniosły się znowuż na Nika, uważne, mądre, bezbrzeżnie smutne.

– Inaczej nie – powtórzył z wolna. – To szczęśliwszy jesteś ode mnie, mój młody przyjacielu, bo ja, widzisz, nawet za ojczyznę... niechętnie, bardzo niechętnie...

Uśmiechnął się do Nika pełnym pokory i smutku uśmiechem, jak gdyby go chciał przeprosić za to, co powiedział i odszedł, skacząc przez kufarki i ciągnąc za ramię czupurnego towarzysza,

który koniecznie chciał jeszcze coś powiedzieć i wyrywał mu się niezgrabnie.

Rozdział IV. Muzyka wojskowa

Z rozkoszą niewymowną myły się dzieci i kładły do czystych łóżek, w ogromnych, jasno oświetlonych pokojach hotelu Wilna. Co za przyjemność pluskać się w ciepłej wodzie, nakładać czystą bieliznę i wyciągnąć zmitrężone ciało w świeżym, pachnącym łóżku, po dwu dobach jazdy w kurzu, upale i nieprawdopodobnym tłoku.

W chwili kiedy matka pochylała się nad Tomem, by go ucałować na dobranoc, zastukano do drzwi i służący podał jej depeszę.

Pani Charleńska rozerwała opaskę i przeczytała głośno.

„Przyjeżdżam po was do Wilna – Dymitr”.

Aż poczerwieniała z radości, czytając te słowa, i zaraz zawołała do śpiącej w drugim pokoju Marty:

– Martuś, wuj Miś przyjeżdża po nas.

– Co za radość! – pisnęła Marta spod kołdry i tylko wielkiemu zmęczeniu należy przypisać, że cała gromada nie odtańczyła na poczekaniu z dawna uświęconego tradycją tańca radości i triumfu.

Oprócz wuja Ryszarda Oleśnickiego z Hołowina i wuja Feliksa, ojca Marietki, który utopił się przed laty, ratując z rzeki swego furmana, matka miała jeszcze jednego brata – był nim wuj Dymitr.

Dzieci widywały go rzadko, bo prawie zawsze podróżował,

niemniej kochały go więcej niż wszystkich innych wujów i ciotki razem wziętych, bo był to najbardziej czarujący wuj na świecie. Zupełnie jeszcze młody, miał lat 26. Żył z chłopcami jak ich rówieśnik, zawsze gotów do żartów i figlów, pełen nieoczekiwanych pomysłów i wybornych kawałów.

Gdy wuj Miś był w Niżpolu, dziwnie się wszystko w domu udawało. Nie było wtenczas ponurych dni, ciemnych pokoi, pustych kątów, ani nieprzyjemnych zdarzeń. Wesołość ogarniała wszystkich. Od ojca aż do ostatniego kuchcika – każdy musiał być wesoły, bo wuj Miś robił z domownikami, co mu się podobało, a podobały mu się tylko przyjemne rzeczy. Nikt na świecie nie miał tak precudnych oczu zielonych, pod rzęsami tak czarnymi. Nikt na świecie nie śmiał się tak promiennie. Nikt na świecie nie był tak lekkomyślny i mądry, wesoły i prosty, tak serdecznie kochający, sprawiedliwy i pewny.

Niestety rzadko przyjeżdżał do Hołowina i Niżpola, wałęsał się bowiem po świecie to tu, to tam. To się uczył w jakimś odległym uniwersytecie, to polował na tygrysy i lamparty (naprawdę, bez blagi), to miał jakieś ważne, a tajemnicze sprawy w różnych krańcach świata. Nigdy nie można było przewidzieć, jaką markę⁸ nosić będzie list od niego. To było zachwycające.

Po zmęczeniu podróżą Nik obudził się późno i z przerażeniem zobaczył, że łóżka Olka i Toma są już puste. Wyskoczył tedy co prędzej z pościeli i ubierał się szybko, w trwodze, że już wuj Miś przyjechał, a jego nie obudzono. Okazało się jednak, że jeszcze

⁸ marka – tu: znaczek pocztowy. [przypis edytorski]

nie przyjechał i że wszyscy zasiadają właśnie do śniadania.

Ale matka nie zdążyła jeszcze kawy nalać do filiżanek, gdy do pokoju wszedł wuj Dymitr. Nikt go nie poznał, bo miał na sobie mundur. Więc w ciszy ogólnej, wywołanej zdumieniem, powstała matka; pochwyciła go za rękę i spytała zdławionym głosem:

– Powołali cię?

– Nie – brzmiała cicha odpowiedź.

– Więc sam... ochotnik?

– Tak.

– Misiu... och, Misiu – powiedziała matka i głos jej się załamał.

Ale oczy miała suche.

Wuj Miś nachylił się do rąk siostry, ucałował je, jedną po drugiej, a potem wyprostował się i rzekł z uśmiechem:

– Przepraszam cię, Marto.

– Ale dlaczego? Po co? – zapytała matka.

Wuj Dymitr pociągnął siostrę ku oknu, podniósł firankę. Po ulicy szeroką, szarozieloną strugą płynęło wojsko. Powiedział, patrząc na nich.

– A oni? Po co oni?

– Ale ty nie musisz! Uwolniłeś się przecież zupełnie od wojska wtedy, gdy musiałeś stawać!

– Za pieniądze – powiedział wuj Dymitr – pieniądze nie powinny uwolnić mnie od śmierci, gdy taki przyszedł czas. Wszystko kupować wolno prócz życia, gdy idą ginać ci, co ich

nie mają. Muszę i ja.

Matka raz jeszcze pochwyciła rękę brata i rzekła z gniewem, groźbą i męką:

– Ale oni idą bić się za ojczyznę, za własną!

– Och nie, nie – zaprzeczył, potrząsając głową – ci nie, i tamci w Królestwie, na Pomorzu, w Poznańskim także nie, ani ci z Ukrainy, Kaukazu, Finlandii!

Matka odeszła nagle od okna, jak gdyby zapomniała o obecności brata. Brwi miała ściągnięte, oczy błyszczące. Zapytała szorstkim głosem:

– Dlaczego dzieci nie jedzą śniadania?

– Bo czekamy na mamę i wuja Misia – odrzekła Marta, ale matka zdawała się wcale nie słyszeć tej odpowiedzi. Siadła przy stole i wskazawszy bratu miejsce naprzeciw siebie, zaczęła smarować bułki, nalewać kawę, krajać chleb. Poruszała rękami szybko i zgrabnie; gdy jednak podniosła pierwszy kawałek do ust, zdało się, że nagle ręce jej straciły władzę. Złożyła chleb na talerzu i siedziała nieruchoma, nie patrząc na nikogo i gryząc, gryząc bez końca, ten jeden, mały kawałek chleba, gorzki i słony.

Po śniadaniu wuj Dymitr powiedział, że pójdzie robić starania, aby do pierwszego pociągu towarowego idącego na Sarny przyczepiono wagon osobowy. Przez dwa dni bowiem miał być wstrzymany ruch osobowy na południe z powodu przerzucania wojsk.

Chłopcy i Marta poprosili o pozwolenie pójścia do Ostrej Bramy i poszli z panną Marią.

– Mnie się zdaje – rzekł Nik, idący przodem z Olkiem i Tomem – mnie się zdaje, że teraz już będzie wszystko inaczej, w Niżpolu i na całym świecie.

– Jak to inaczej? – zaprotestował Tom. – Już tyle razy była na świecie wojna: i za Aleksandra Macedońskiego, i za Napoleona, i za innych wojowników, a przecież ciągle jest tak samo.

– Głupi jesteś – rzekł Nik. – Skąd wiesz, że tak samo? Mnie się właśnie zdaje, że za każdym razem jest potem inaczej.

– Et! Święty by was nie zrozumiał z waszym „tak samo” i „inaczej”. Co to znaczy „inaczej”? Co ty przez to rozumiesz, Niku? – zirytował się Olek.

Ale Nik nie umiał powiedzieć, co przez to rozumie i wołał dać za wygraną. Żeby zaś zagadać tę sprawę, zaproponował, aby wszystkie modły pod Ostrą Bramą były wyteżone w celu ubłagania Matki Boskiej, aby dziś jeszcze był pociąg do Niżpola. Strasznie mu się już chce do domu.

– To nie wypada prosić o taką drobną rzecz – powiedział Tom, który zawsze wiedział co wypada, w jakim miejscu, a co nie. – Ale jeżeli obraz będzie odsłonięty, to znaczy, że pojedziemy dziś, a jeżeli nie, to nie – zaprorokował.

Obraz był odsłonięty.

Po wyjściu brata i dzieci matka pozostała sama z Anią w hotelu.

Z początku kręciła się po pokojach, pakując i składając rzeczy; coraz jednak stawała w oknie i długo patrzyła w ulicę.

W końcu włożyła kapelusz, związała budkę⁹ Ani na kokardę i wyszły.

– Dokąd idziemy, Musiu? – spytała Ania.

– Do Ostrej Bramy – odpowiedziała matka.

Szły ulicą zalaną słońcem, a tak natłoczoną, że z wolna tylko można było się posuwać.

Szły sobie, trzymając się mocno za ręce, wśród tłumu dorosłych i dzieci, żołnierzy i cywilnych, strojnych dam, panów i pospólstwa.

Wszyscy wokoło byli ożywieni i krzykliwi. Szable dzwoniły po chodniku, trąbki samochodowe buczały ostrzegawczo, oberwani chłopcy wykrzykiwali nazwy gazet, a ponad tym gwarem, daleko w górze brzmiał dzwon kościelny.

W jakimś miejscu trzeba było przeciąć ulicę, którą płynęły niekończące się szeregi żołnierzy. Matka z Anią zatrzymały się więc na skraju chodnika i stały wśród gęstego tłumu.

Żołnierze szli. Szereg za szeregiem, oddział za oddziałem. Szli, szli i szli. A potem jechali na koniach, z muzyką.

Ania była zachwycona. Trąby złociste błyszcząły w słońcu i tak wspaniale, triumfalnie grały!

Ania ścisnęła matkę za rękę i skakała na jednej nodze.

Nagle spostrzegła, że ręka matki drży w jej małej dłoni. Podniosła oczy i zobaczyła rzecz zdumiewającą.

Matka odchyliła głowę w tył, zamknęła oczy, a twarz jej była zalana łzami. Usta uśmiechały się, a łzy jak grad spływały po

⁹ *budka* – kapelusz ze sporym daszkiem osłaniającym twarz. [przypis edytorski]

policzkach, odbijały się o kołnierz zakietu i spadały aż na ręce.

Ania szarpnęła ręką matki.

– Musiu! – krzyknęła groźnie. – Dlaczego Musia płacze?

Matka nic nie odpowiedziała. Zawróciła i poszła wolno w stronę hotelu, ściskając mocno rękę Ani.

Muzyka dolatywała z daleka, a żołnierze ciągle szli.

Ania już się nie spytała drugi raz.

Rozdział V. Różne poglądy na pakowanie i rozpakowywanie

Wuj Dymitr wysłał z Wilna depezę do Niżpola, oznajmiając dzień powrotu, ale od razu na poczcie powiedziano mu, że nie jest rzeczą pewną, czy depeza dojdzie we właściwym czasie, a nawet czy w ogóle dojdzie.

I widocznie nie doszła, bo na stacji w Żytomierzu nie znaleziono niżpolskich koni. Wuj Miś chciał zaraz brać dorożki i jechać do Niżpola, ale matka nie zgodziła się na to. Zdecydowała się zajeżdżać do hotelu i stamtąd posłać wiadomość do domu.

Franciszek, portier hotelu, do którego zawsze zajeżdżano, ucieszył się nadzwyczajnie, zobaczywszy panią Charłęską z dziećmi, znał on wszystkich ziemian okolicznych i każdego witał jak osobistego przyjaciela.

– A myśmy się tu już niepokoiłi o panią – mówił, prowadząc gości do przeznaczonych dla nich pokojów. – Bo to ta Połaga, to nad samą podobno granicą? To prawie nie ma dnia, żeby ktoś mnie nie zapytał: „Franciszku, a przyjechała już pani Charłęska z dziećmi?”. Bo to u nas, proszę pani, hotel pełniusieńki, szpilki by nie wsadził. Ale dla jaśnie pani to zawsze się miejsce znajdzie.

– Czemuż to taki zjazd? – spytała matka.

– Wojna, proszę pani, wojna! – powiedział Franciszek z taką dumą, jak gdyby ta wojna była jego osobistą zasługą.

– Jednych biorą do wojska... – tu zwrócił się do wuja Dymitra

i rzekł z odpowiednio zasmuconą miną – kto by to pomyślał, Panie święty, że i pan hrabia nałoży mundur!... Drugim zabierają konie, automobile, to każdy by chciał swoje ocalić. Więc: a to do gubernatora, a to do generałów znajomych! A jeszcze inni to prosto przez ciekawość...

Nagle zatrzymał się i wykrzyknął ze szczerym oburzeniem:

– Ale ja tu gadam i gadam, a nic nie mówię, że pan Oleśnicki z Hołowina jest u nas przecież od dwóch dni. Filip, dawaj kuferki i leć pod czwarty, powiedz, że pani Charłęska z dziećmi przyjechała.

Wuj Ryszard przyszedł zaraz, uściskał siostrę i jej dzieci i spytał o drogę. Z roztargnieniem wysłuchawszy opowieści, zaraz zaczął narzekać na to, co się działo. Mówił, że nie będzie już czym jeździć, bo zabierają automobile i konie, że musiał przerwać rozbudowę cukrowni, a z kopalni Labradoru zabrali połowę robotników.

Matka słuchała tego dosyć obojętnie, a zainteresowała się dopiero, gdy zaczął utyskiwać na powołanie do wojska służby, robotników i parobków. Wówczas jąła wypytywać, kogo mianowicie wzięli i z wielkim smutkiem słuchała tej długiej listy.

– Mój Boże! – mówiła. – Więc i Kiryluka wzięli! Sześcioro dzieci w chacie i taka bieda! Ach, i Iwana, w tym roku się ożenił z dziewczyną niżpolską, biedna kobieta! Czy nie można by go uwolnić?

Wuj Ryszard parsknął śmiechem: „Uwolnić? Teraz? W czasie wojny? Zabierają na front gubernatorskich synów,

najwpływowszych urzędników i panów, nie tylko Kiryluków i Iwanów! Na to nie ma rady”.

Potem opowiedział, że żona jego, ciocia Halszka z Reną i Alim są teraz w Paryżu, dokąd uciekli z Ostendy, i że nie chce, on, wuj Ryszard, aby wracali przed końcem wojny, która dłużej trwać nie może niż dwa, trzy miesiące. A Marietka ciągle w klasztorze w Zbylitowskiej Górze – niech tam przeczeka wojnę.

I znowuż zaczął narzekać na żelazne prawo, które zaczęło rządzić światem.

Wujowi Misiowi widać strasznie to obrzydło, bo opuścił starszych i przeszedł do drugiego pokoju, gdzie Marta pomagała pannie Marii wyjmować z kufrów potrzebne do przebrania się rzeczy. Stał przy niej i powiedział:

– Strasznie lubię pakować, ale nie cierpię rozpakowywać. Ty także?

Marta zdziwiła się.

– Ja? Nie! Ja właśnie lubię rozpakowywać.

– To dlatego – objaśnił wuj Miś – że ty wolisz dojeżdżać, a ja wyjeżdżać, zawsze wyjeżdżać.

Tom, który siedział na czarnym kufrze i piętami wybijał na jego boku wojennego marsza, powiedział:

– Przecież po to się właśnie wyjeżdża, ażeby dojechać, więc co wuj Miś sobie myśli?

– Ach, Tomku! – wykrzyknęła Marta. – Jak ty się wyrażasz? Czyż można do starszych mówić: „co wuj sobie myśli”?

– Ja przecież nie powiedziałem „co wuj sobie myśli!”, tylko:

„co wuj sobie myśli?”. To było zapytanie.

Wuj Miś śmiał się.

– Ależ tak, tak – powiedział – to było zapytanie, a nie wykrzyknik! Otóż ja sobie myślę, że w ogóle ludzie wyjeżdżają rzeczywiście po to, żeby dojechać, ale ja...

– Tak – pokiwał Tom głową ze zrozumieniem – prawda, że wujaszek zawsze inaczej robi, jak¹⁰ inni ludzie. Więc dlatego...

Marta wstała z kolan, zamknęła swój kuferek i powiedziała z uczuciem:

– Ja nawet tak strasznie lubię dojeżdżać, a szczególnie do domu, że płakać mi się chce na myśl, że pewnie dopiero jutro będziemy w Niżpolu. Bo nim dojedzie posłaniec, dotychczas zdaje się niewysłany, nim papcio przyśle konie, to już będzie wieczór, a mama mówiła, że nie pojedzie z nami wieczorem, bo teraz pełno poborowych na drogach.

– Wiesz co? – powiedział wuj Miś. – Weźmiemy konie wuja Ryszarda i pojedziemy.

– Ba! – wykrzyknęła olśniona propozycją Marta – ale przecież nie zmieścimy się wszyscy w powozie, a w dodatku wuj Ryś może przyjechał bryczką... nie wiesz, Tom?

– Powozem, ale któż to wie, może sam wraca dziś do Hołowina i nie zechce nam dać koni.

– To się go nie będziemy pytać – zdecydował wuj Dymitr... i poszedł pertraktować ze starszymi.

Wyniki tych pertraktacji okazały się pomyślne i zaraz po

¹⁰ *inaczej (...)* jak – dziś popr.: inaczej niż. [przypis edytorski]

zjedzeniu śniadania pani Charłęska z Martą, Anią, Tomem i panną Marią pojechała do Niżpola, zostawiając starszych chłopców pod opieką wujów do chwili przysłania po nich koni.

Rozdział VI. Powitanie domu

W samo południe wjeżdżała pani Charłeska z dziećmi do Niżpola. Kiedy powóz wtoczył się między białe niżpolskie chaty, Marta stanęła na ławeczce, twarzą do koni i patrzyła w daleką perspektywę wiejskiej drogi, na końcu której, w miejscu, gdzie gościniec zawracał na lewo, widniała szeroka, żelazna brama, wsparta na dwu labradorowych¹¹ kolumnach.

Za tą bramą był park i dom. Z biciem serca Marta pomyślała o tej chwili, w której roztworzą się obie połowy bramy, a powóz wtoczy się na żwir alei, między zielone trawniki.

„Tam jest mój dom, mój najdroższy dom” – myślała radośnie, ściskając mocno w rękach żelazną barierkę kozła.

W głębi powozu panna Maria powiedziała do matki:

– Chwała Bogu, proszę Pani, już dojeżdżamy.

– Tak – odpowiedziała matka – już, na szczęście! Zawsze w domu jest najlepiej!

Tysiące razy już Marta słyszała ten frazes, ale prawdziwość jego objawiła jej się dopiero w tej chwili.

Gdy powóz zatrzymał się na moście przed bramą, a furman

¹¹ *labradorowy* – zrobiony z labradoru a. labratorytu; *labrador*: minerał, jeden z krzemianów, charakteryzujący się mieniającą się barwą (zjawisko irydyzacji), niebieskawą, zielonawą a. różowawą, którego złoża odkryto w XVIII w. na półwyspie Labrador (stąd nazwa), labrador jest składnikiem skał magmowych zw. *labratorytami*; w budownictwie używa się tafli oszlifowanego labratorytu do ozdobnego wykładania wybranych powierzchni np. kolumn. [przypis edytorski]

zlażł z kozła, by ją otworzyć, Marta zobaczyła dom, swój biały dom, pod czerwonym dachem, opleciony winem, wsparty na długim szeregu białych kolumn. A potem, kiedy powóz toczył się po żwirze, Marta czuła, że serce jej skacze z radości i wzruszenia. Oczy jej obejmowały kwiaty płonące w słońcu, wnikały w wilgotną głębię parku, całowały okna domu, jedno po drugim, te okna, za którymi znajoma była każda rzecz, wiadomy każdy kąt i sprzęt każdy.

Na turkot powozu z oficyny wypadł Sławian w zielonym fartuchu. Spojrzał, zniknął, wypadł na nowo i pędził już ku domowi; zapadł w drzwi kredensowe i wyłonił się u podjazdu w chwili, gdy konie stanęły.

Między domem a oficyną zaroilo się; klucznica, spocona i czerwona jak dojrzałe jabłko, szła szybko, acz z godnością. Starszy służący, Łukasz, wyniknął zza lodowni i biegł, przeskakując kwietniki. Inne, mniej dostojne i niżej postawione istoty, kręciły się wokoło oficyny, nawołując w pośpiechu.

– Bo to, proszę jaśnie pani, pan właśnie pojechał z rana do Czerniachowa – mówił Łukasz, zdejmując pled z nóg pani Charłęskiej – pod wieczór wróci. My się tu zupełnie dzisiaj jaśnie pani nie spodziewali, tylko czekali my ciągle na „telegrame”. Mało że trzy razy pan wyjeżdżał na kolej do Żytomierza.

– Dzień dobry pani Czarnieckiej – powiedziała matka do klucznicy – czy wszystko dobrze?

– Wszystko w porządku – odpowiedziała ochmistrzyni, ujmując podaną sobie rękę w sposób wytworny i delikatny. – Jak

gdyby pani wczoraj wyjechała.

– A mnie to już biorą do wojska – oznajmił Sławian i w tej chwili wydał się Marcie nadzwyczaj interesującym.

W domu, we środku było chłodno i ciemnawo. Rolety zapuszczone, a meble osłonięte pokrowcami. Matka zaraz kazała pootwierać okna od północnej strony. Mówiła, że nie ma powietrza.

– Czemuż się to tak szczelnie zamykacie? – zapytała Łukasza. – Rolety niech będą opuszczone tylko po słonecznej stronie, a od północy proszę pootwierać. I pokrowce! Proszę zaraz zdjąć pokrowce.

– Żeby my się jaśnie pani spodziewali, to byłoby wszystko jak należy. A tak, to ja spytałem pana: „Może by tak pozamykać pokoje, bo na co się mają niszczyć od słońca i much?”. A pan powiedział: „Dobrze, zamknij, Łukaszu i nałóż pokrowce. I owszem, niech się nie niszczy, póki pani nie ma”. A pan mieszkał w gabinecie, to tu nawet i nikt nie chodził.

Ale Marta już dawno nie słuchała tej rozmowy. Biegła z pokoju do pokoju, pełna radości i wesela.

Otóż nareszcie i jej pokoik. Własny. Niebieskie łóżko nakryte kapą – puste. Wszystko znajome, a jak gdyby obce. Grzecznie, równiutko ustawione, porządne, uprzejme i chłodne. Lampka przed obrazem niezapalona, obraz ogołocony z kwiatów i pnączy, klęcznik jakiś ceremonialny, a biureczko niby śpiące czy umarłe?

Marta wyjęła z szuflady teczkę, kałamarz, i próbowała

przestawić parę krzesel. Wszystko na próżno!

Tom wsunął głowę przez drzwi i powiedział, ale nie do Marty, tylko tak, w powietrze.

– A ja idę do parku, bo tu nie ma co robić.

– Idę z tobą – zawołała Marta i razem wybiegli przez ten zimny, ogromny, właściwie pusty salon, w którym właśnie Łukasz zdejmował pokrowce i otwierał oszklone drzwi na północny taras.

Marta powiedziała ze smutkiem:

– Bo w domu coś się zmieniło!

– Nic się nie zmieniło – zaprotestował Tom – tylko jest pusty. Nikt nie mieszka.

– A papo?

– Papo sobie mieszkał w gabinecie, w kancelarii, na toku! A zresztą papo to nie mama.

Ale w parku było zupełnie tak jak dawniej, tylko dwa razy piękniej. Wszędzie się słały kwiaty purpurowe, żółte, szafirowe. Trawniki nisko skoszone lśniły jak atlas, a jezioro ciche, głębokie, dobrotliwe, połyskiwało gładką taflą. Łabędzie wypłynęły z ciemnego kanału i wolniutko sunęły w stronę przystani, a na wodzie pozostawiały koła coraz szersze.

Marta powiedziała, że już przenigdy więcej nie wyjedzie z domu.

– A ja wyjadę – rzekł Tom. – Ale potem zaraz wrócę, bo wracać jest najprzyjemniej.

Część II. Wuj Dymitr

Rozdział VII. Sprawka wuja Dymitra

– No i cóż ci się zmieniło, odkąd jest ta wojna? – spytał Tom Nika, gdy raz, zawieszeni między niebem a ziemią, siedzieli na starym orzechu włoskim. – Dwa lata już trwa, a wcale nie jest inaczej niż przedtem!

– Jest inaczej – rzekł Nik stanowczo. – Nic dziwnego jednak, że tego nie spostrzegasz, gdyż jak i dawniej jesteś małym i głupim chłopcem.

Tom nie obraził się – rzucił niedojrzałym orzechem w Huka, który kręcił się niecierpliwie pod drzewem, trafił go w nos i zadowolony z celności swego strzału rzekł spokojnie:

– Bo to, że jest teraz mniej koni, że zamiast służących są mali chłopcy, że zabrali Łukasza, ogrodnika i innych i że się nie jada czterech potraw na obiad, to nie jest żadna zmiana. Ja przynajmniej tego zmianą nie nazywam. A ty, Olku?

Olek, głęboko nad czymś zadumany, powiedział bezmyślnie: „I ja także” – a potem nastąpiła cisza.

Ale Nik czuł, czuł doskonale, że wszystko jest inaczej, tylko nie wiedział co. Naturalnie, że wcale nie myślał o tym, że się nie jada czterech potraw i że się nie wyjeżdża na zimę do Warszawy, i że służby jest mniej, i w ogóle... Ale przecież każdy to rozumie,

że coś się przeinaczyło najgłębiej. Tylko co?

– Bo gdyby to była polska wojna, to rozumiem – ciągnął dalej Tom z tym spokojem, który daje pewność – wtedy byłoby zupełnie inaczej! Cieszyłoby się, gdyby wojska szły naprzód, czekałoby się z biciem serca wiadomości...

– A tak się nie czeka? – wykrzyknął Nik. – Starsi wydzierają sobie gazety!

– No, ale cóż z tego? – rzekł Tom. – Mówią: „ach! chwała Bogu, Przemyśl wzięty”, a tu raptem płaczą, że Lwów zajęli Moskale, i znowuż rozpaczają, że Warszawa w rękach Niemców! A właściwie nie powinni ani się cieszyć, ani smucić, bo cóż z tego wszystkiego?

Nik wcale nie słuchał przemowy Toma. Powiedział nagle:

– Przedtem był spokój, a teraz nie ma!

Ale odkrycie to powitał wybuch śmiechu obu braci.

– A toś nam nowinę powiedział – śmiał się Olek – naturalnie, że nie ma pokoju skoro jest wojna.

Ale Nik już wiedział, co myśleć. Rzekł:

– Ja nie mówię „pokoju” tylko „spokoju”. Bo wojna przecież do nas nie dochodzi, a niepokój dochodzi. Wszyscy są niespokojni, zdenerwowani. Właśnie. Ciągłe na coś czekają, czegoś pragną, czegoś się boją. Latają na wszystkie strony. Ale to właściwie nawet nie o to chodzi. Tylko dawniej rozmawiało się o tym, jaka jest koniczyna i ile będzie pudów chmielu, i że trzeba poprawić dachy na budynkach albo że się pojedzie w niedzielę do Hołowina. A teraz mówi się jak o chlebie powszednim

o odwadze, bohaterstwie, okopach, ranach i krzyżach, i o armatach. A nawet się wie, że można to wszystko zobaczyć własnymi oczami.

– Może ktoś może, ale my nie – powiedział Tom. – Front tak daleko!

– Ja zobaczę – powiedział spokojnie Nik.

W tym miejscu rozmowy i Olek się zainteresował.

– Jakimże to sposobem spodziewasz się zobaczyć, Niku? – zapytał. – Bo ja to co innego. Za dwa lata skończę gimnazjum i pewnie wezmą mnie do wojska.

Ile razy to mówił, a mówił dosyć często, Nik i Tom uczuwali w sercu żądło zazdrości.

Tym razem jednak Nik zniósł te słowa spokojnie.

– Zobaczę. Bo najpierw to nieprawda, że wojna się skończy tak prędko. Wszyscy to ciągle powtarzają, a jednak nie kończy się. A po wtóre... zobaczę.

Czasem się zdarzało, że Nik twierdził coś z całą stanowczością, a nie chciał twierdzenia swego uzasadnić. Innym nie było wolno tak robić, ale Nikowi – owszem. I musieli mu wierzyć – tak na słowo. I zresztą zawsze okazywało się potem, że miał rację.

I teraz Olek ani chwili nie wątpił, że Nik zobaczy, skoro tak powiedział. A nawet wydała mu się taka rzecz bezsensowna, że Nik już widział, bo wuj Dymitr był na froncie. A to było coś niezmiernie dziwnego! Oto wuj Dymitr i Nik wydawali się czasem Olkowi jedną osobą, zlewali się niekiedy w jego głowie i

sercu w jedną doskonałą istotę, jakąś nieuchwytną, bliską, a tak nieskończenie daleką!

Olek wiedział, co go w przyszłości czeka. Znał swoje życie rok po roku. Wtenczas zrobi to, a potem tamto, będzie tu i tam, częściej tu. Będzie miał takie obowiązki, a takie prawa i nic mu się nie zdarzy inaczej, tylko wszystko tak, jak być musi, jak będzie.

Ale Nik – to jest tajemnica... Jego mogą spotkać najbardziej nieprawdopodobne losy. Nik może nawet powiedzieć, że będzie królem albo że odkryje sposób dostania się na Marsa, albo że pobije wszystkie wojska wrogie na czele wielkiej i potężnej, a stworzonej przez siebie armii polskiej!

Nik może to powiedzieć, a nawet zrobić! A on, Olek, nie. I Tom nie, a o Marcie i Ani to nawet nie ma mowy.

I dlaczego to tak jest? Dlaczego? Przecież on jest starszy i silniejszy i uczy się znakomicie, jest pierwszym uczniem w klasie, a Nik przecież nie. Nik potrafi zupełnie nie nauczyć się lekcji, siedzieć cały dzień w stajni i twierdzić, że już wszystko umie, a potem okazuje się, że nic! A przecież ojciec wyraźnie im zapowiedział, że przeniósłszy się z konieczności ze szkoły polskiej do gimnazjum rosyjskiego (od chwili odcięcia od Warszawy), muszą w tym gimnazjum dowieść, że szkoła polska wyżej stoi, że daje najlepszych, najsumienniejszych uczniów. I Olek dowiódł. I wie o tym, że jest uczniem doskonałym, zdolnym, bystrym i sumiennym. Nauczyciele go szanują, koledzy kochają i cenią. A Nik – nic. Nik zawsze jest pełen prostoty,

z pozoru zupełnie zwyczajny, dobry, żywy chłopak, trochę niedbały i leniwy, a taki stokroć, stokroć wspanialszy niż inni – zupełnie niezgłębiony – jak wuj Dymitr!

Co ich łączy? Czyżby tylko to podobieństwo twarzy i ruchów, uśmiechu i głosu?

Olek tak się zadumał nad tą tajemnicą, że nie słyszał końca dyskusji braci.

Ocknął się dopiero w chwili, gdy już obaj złazili z orzecha, ku nieklamanej radości Huka.

Nik właśnie mówił, że musi pójść na chmiel zobaczyć, czy w tym roku będzie ładny zbiór. Poszli więc obaj z Olkiem, podczas gdy Tom ruszył do sadu w poszukiwaniu czegoś do zjedzenia.

Plantacje chmielowe znajdowały się przy drodze z Żytomierza, po jednej stronie. Po drugiej ciągnęły się długim szeregiem chaty wsi Perehonówki, stanowiącej niby przedmieście Niżpola. Plantacje oddzielone były od drogi głębokim rowem i płotem. Nieskończenie długie, wąskie aleje wiotkich łodyg, okręconych wokół drutów pionowych, równomiernie zawieszonych na szachownicy drutów poziomych, lekko falowały na wietrze. Odurzający, mocny zapach chmielu owiał chłopców.

Olek zerwał garść malutkich jeszcze szyszek i uważnie rozcierał je w dłoniach. Były ładne, nieduże, a zwięzłe, bez pleśni ani rdzy – zdrowe. Gęsto pokrywały łodygi, tworząc jaśniejsze plamy na ciemnym tle szorstkich liści.

– Jeśli nie padnie rdza ani pleśń, to będzie w tym roku dużo

chmielu i ładny – powiedział Olek – tylko kto to będzie rwać? Kiedy baby muszą orać, bronować i w ogóle zastępować mężów!

Nik nie odpowiedział. Wlazł na płot i uważnie nasłuchiwał, wyteżając wzrok.

– Co tak patrzysz? – zapytał Olek.

– Bo mi się zdaje, że słyszę automobil – powiedział Nik.

– Ech! cóż znowu – zaprotestował Olek – któż to dziś w okolicy ma auto? Wszystkim pozabierali – ale w tej chwili przerwał, bo sam również posłyszał podejrzany, miarowy dźwięk.

Wlazł za bratem na płot i obaj nasłuchiwali w wyczekującej postawie.

Naprawdę, to był automobil – już było słycać zupełnie wyraźnie.

– Pewnie nie do nas – rzekł Olek, ale jednocześnie do duszy wpłynęła mu błoga nadzieja, że może jednak to wuj Dymitr, który na swojej maszynie służył w automobilowej rocie i czasem, rzadko, przyjeżdżał na dni parę.

Teraz już chłopcy nic nie mówili, tylko czekali. Po drugiej stronie drogi, między chatami, było zupełnie cicho, kury tylko gdakały na śmietnikach i psy ziewały w słońcu. Nawet dzieci nie było nigdzie w podwórzach, wszystko, co żyło, wyległo w pola. Nad drogą drżała złocista mgiełka kurzu prześwietlonego słońcem. Badyle płotu pachniały rozgrzanym drzewem, a lekki wiatr cichutko szeleścił liśćmi chmielu.

Daleko na drodze ukazał się punkt ciemny, który raz po raz

błyskał w słońcu i sunął szybko ku wsi. Nik powiedział parę razy zupełnie cicho: „To na pewno wuj Miś, to na pewno wuj Miś”.

Co do tego, to już nie było dwóch zdań. Już bowiem doskonale było widać podłużną szarą maszynę wuja Misia i nawet to dostrzec było można, że jedzie sam.

Chłopcy przeskoczyli płot, przesadzili rów i czekali na drodze rozpromienieni i szczęśliwi.

Auto stanęło tuż koło nich, a wuj Miś wyskoczył i porwał ich w ramiona przy triumfalnym huku niezatrzymanego motoru.

Wsiedli. Wuj Miś zapytał zaraz i z widocznym pośpiechem, czy ojciec w domu. Nie, nie było go, pojechał do Hołowina. A matka? A matka pojechała wózkiem do lasu, bo żona gajowego chora.

Ani się chłopcy opamiętali, jak już automobil w ostatniej chwili sprawnie zawrócony przed bramę, na prawo, pędził po gładkiej drodze w stronę lasu.

– Tam pod lasem jest bardzo zła droga – ostrzegł Nik, który stanął w głębi samochodu, zaraz za wujem Dymitrem. Miejsce obok zajął Olek.

– Oho, moja maszyna widziała gorsze – powiedział spokojnie wuj Miś. W ogóle niczym go nie można było nigdy zniechęcić, gdy raz coś postanowił.

– Ale tam w jednym miejscu jest piasek – wtrącił Olek.

– Ba! – rzekł lekceważąco. – Da sobie radę, dosyć ma mocy. Cóż to, myślicie, że już zapomniałem gdzie, co tu u nas jest?

I rzeczywiście dała sobie radę – huczała oczywiście mocno

jak dynamo, ale zwycięsko wtoczyła się na twardą drogę lasu i już dalej szła lekko, lekceważąc wszelkie dziury i grudy.

Spotkali matkę, gdy wracała, pozwalając biec wolnym truchtem zasłużonej muce. Była tak uszczęśliwiona, że ani chwili się nie namyślając, rzuciła lejce mucki, wyskoczyła z wózka i chwyciwszy głowę brata w swoje ręce, całowała ją, całowała bez pamięci, w oczy, czoło, włosy... Śmiała się przy tym radośnie i dziecięco. Mucka, korzystając z zamieszania, zesła z drogi między drzewa, zaczepiła kołem wózka o pień i szczypała od niechcienia trawkę.

Wuj Dymitr zdecydował, że matka wraca z nim, autem, a że i chłopcy chcieli także, więc zawołano chłopca z leśniczówki i powierzono mu zrównoważoną i zycziwą Muckę.

Wuj Miś powiózł daleką, okólną drogą, przez las piszczanecki i Zorohów. Matka siadła obok brata, a chłopcy w głębi.

I zaraz zaczęła się ta najdziwniejsza historia, która tyle potem zaważyła w życiu Niżpolskim.

Zaledwie ruszyli, wuj Dymitr półgłosem rzekł do matki:

– Trzeba ocalić jednego człowieka.

– Kogo? – zapytała matka równie cicho.

– Jednego. Schowałem go w rządowym lesie pod Sokołówką.

– Dobrze – powiedziała matka – a co mu grozi?

– Kara śmierci.

Wtenczas to Nik oprzytomniał i krzyknął nagle jak ktoś, kto wbrew własnej woli spełnia obowiązek.

– Wuju! My wszystko słyszymy tutaj!

Na chwilę nastąpiła cisza, potem wuj Miś powiedział:

– Wiem, że potraficie milczeć.

– Tak – odpowiedzieli Olek i Nik razem.

Wuj Miś mówił więc dalej już głośno:

– To jest legionista. Poddany rosyjski, który, wzięty w niewolę przez Niemców, wstąpił do legionów. Złapali go. Później opowiem ci o tym. Mieli rozstrzelać. Udało mi się, udało cudem ocalić go i tu przywieźć. Na szczęście miałem komenderówkę w te strony. Tymczasem zostawiłem go w lesie. Ale co dalej z nim robić?

Automobil szedł wolniutko, hucząc strasznie. Widocznie wuj Miś naumyślnie powstrzymał jego bieg, nie spiesząc się do domu.

– Trzeba było zaraz przywieźć go do nas – powiedziała matka.

– Tak, ale ja nie mogę go tu przywieźć – powiedział wuj Miś. – Jestem zamieszany w sprawę jego zniknięcia. Gdyby go tu wykryli, od razu byłbym posądzony i rozstrzelany. Jestem w wojsku: rozumiesz, nie mogę, Marto. Trzeba, żeby w Niżpolu nikt się nawet nie domyślał, skąd on jest i że ma coś wspólnego ze mną. Trzeba, żeby przyjechał do was zupełnie naturalnie, jak ktoś, kogo się spodziewacie, żeby zajął u was jakąś posadę.

– To może być nasz korepetytor – powiedział Nik, przejęty i podniecony.

– Tak, korepetytor albo sekretarz Augusta. Trzeba, żeby siedział w domu i jak najmniej miał styczności z ludźmi. Postaram się potem wyprawić go zagranicę. Na razie nie sposób. Musi gdzieś przeczekać.

– To wszystko głupstwo – powiedziała matka – nieraz już wspominałam w domu, że muszę wziąć korepetytora do Tomka, więc nie zdziwi służbę nowy przybysz. Żadne władze wojskowe ani cywilne nigdy do Niżpola nie zaglądną. Wojska idą traktem, omijając nas. Zdaje mi się, że nic mu u nas nie będzie grozić. Ale jak go dostawić? Niepodobna, aby przyszedł piechotą, bo to wywołałoby zdziwienie służby. Niepodobna także posyłać po niego konie do lasu, bo jak upozorować jego tam bytność? Trzeba, żeby wszystko odbyło się jak najnaturalniej. Może mógłby wrócić do Żytomierza i tam w hotelu poczekać na konie?

– Niepodobna – rzekł wuj Miś. – Żytomierz pełen wojska: niechże by go spotkał ktoś znajomy! Zresztą ranny jest w nogę, mocno kuleje.

Wtenczas Nik powiedział nagle:

– Tak można zrobić: mama każe zaprzęgać, żeby jechać po korepetytora do Żytomierza. W ostatniej chwili, gdy konie już będą pod gankiem, my z Olkiem poprosimy głośno o pozwolenie pojechania po niego. Mama pozwoli. Michałka odprawimy do stajni i sami pojedziemy. W lesie poczekamy trochę i wrócimy z korepetytorem.

– Dobrze – powiedziała matka po chwili namysłu, a wuj Dymitr puścił maszynę czwartą szybkością i pędzili już cicho do domu.

Matka odwróciła się do chłopców i powiedziała jeszcze:

– Tomkowi, Marcie, mademoiselle: ani słowa. Nikomu.

– Nikomu – powtórzyli chłopcy.

Już dojeżdżając, wuj Dymitr rzekł do matki:

– Przykro jest decydować bez Augusta, ale wiem, że się zgodzi!

– Naturalnie – odpowiedziała matka.

– Potem z nim razem naradzimy się, co zrobić, abyście wy nie byli narażeni w razie czego.

– Tak, potem, potem.

I już stali pod filarami, a Filipek otwierał drzwiczki samochodu.

Rozdział VIII. Dyplomatyczne zapytanie

W szczerym polu, gdy ostatnie chaty Niżpola pozostały daleko w dole, Nik powiedział do Olka:

– A jeżeli on nam nie zechce zaufać? Pomyśli, że jesteśmy szpiedzy nasłani i nie pojedzie z nami, tylko ucieknie?

Olek wiedział doskonale, że nie, bo jacy tam znowu szpiedzy! Ale przypuszczenie Nika zainteresowało go.

Wydało mu się romantyczne. Powiedział, że szkoda, iż nie wzięli kartki od wuja Dymitra.

– W takich wypadkach bierze się pierścień, sygnet. Kartka mogłaby wpaść w niepowołane ręce – odrzekł Nik z miną człowieka, który zęby zjadł na wykradaniu więźniów i oszukiwaniu szpiegów.

Po chwili zaś powiedział znowu:

– I musimy także sami bardzo uważać, bo a nuż weźmiemy kogoś innego, za tego legio... a prawda, wuj Miś kazał go nazywać panem Andrzejem, więc za tego pana Andrzeja?

– Przecież wuj Miś powiedział nam wyraźnie, gdzie go znajdziemy! – zirytował się Olek. – Co ty, Niku, wynajdujesz jakieś trudności i niebezpieczeństwa! Sprawa jest prosta jak bagnet.

– Właśnie, że nie taka prosta, jak się wydaje – powiedział Nik ponuro.

Jechali dłuższą chwilę w milczeniu, wzdłuż pola kwitnącej

koniczyny. Na zielonej, bujnej powierzchni, gdzieś tam brązowały wygryzione płyty, jak łysina poczynająca ogałać uwłosioną gęsto głowę.

– Psia kość, jaka to kanianka na tej koniczynie – zaklął Olek.

– Mój drogi – przerwał mu porywczy Nik – tu nie o kaniankę chodzi, tylko o pana Andrzeja. Przecież mogło się tak zdarzyć, że ktoś nadszedł w to miejsce, gdzie siedział i musiał się ukryć gdzie indziej. A jeżeli my się natkniemy na tego innego i spytamy go, czy to on był w legio... czy to on jest właśnie tamtym, którego...

– Nie można powiedzieć, żebyś się jasno wyrażał – rzekł drwiąco Olek.

– Do kroćset! Przecież i tak wszystko rozumiesz! – rozgniewał się Nik.

– Rozumiem.

– No więc, czego się czepiasz?

– Ja się nie czepiam. Tylko czego ty w ogóle chcesz? Naturalnie, że nie będziemy do niego z daleka krzyczyć: „czy to pan, czy to nie pan?”. Trzeba będzie się zapytać dyplomatycznie.

– O to właśnie chodzi – uspokoił się Nik. – Bo cóż z tego, że wiemy, że jest mały, blondyn (także koncept być blondynem, jak się jest bohaterem!), że ma szare ubranie i że kuleje? Mało to możemy spotkać takich samych?

Zamilkli obaj, bo bryczka wjeżdżała do lasu. Byli bardzo wzruszeni. Jechali teraz wolno, drogą, która szła nieco w górę, ocieniona wysoką ścianą drzew gęsto podszytych. W pierwszą linię boczną skręcili na lewo i jechali już zupełnie wolno, noga

za nogą, jak najciszej. Kiedy już podjeżdżali do dębu, od którego mieli rozpocząć poszukiwania, z daleka wyszedł z lasu na drogę jakiś człowiek i szedł ku nim.

– To jest nadleśny... – powiedział Nik, który miał wzrok znakomity.

Spojrzeli na siebie z przerażeniem. Jeśli widział legionistę to co? To co? Jeśli przyczepi się do nich i będzie oprowadzał po lesie?!

– Ani słowa do niego, ani słowa! – wyszeptał Olek.

– Naturalnie!

– I bądź wesół. Nie rób takiej głupiej miny. Dlaczegoś ty taki blady do licha! Zwariowałaś czy co? Co ty robisz?

Ale Nik już się opanował. Zeskoczył z bryczki, śmignął przez rów i pełnymi garściami począł rwać rosnące wokoło trawy i zioła. Zerwawszy ich pełną naręcz, wrzucił do bryczki i potem rwał dalej, już zupełnie spokojnie, pilnie szperając między trawą.

– Nik, co ty robisz, co ty robisz? – szepnął, nie poruszając ustami Olek.

Nadleśny już stał koło bryczki i uśmiechał się do chłopców.

– Dzień dobry Siergiej-Iwanowicz – powiedział wesoło Nik, przeskakując rów z powrotem na drogę, z garściami pełnymi ziół. Wyjechaliśmy do lasu z profesorem po rośliny do botaniki.

– Aha! – nadleśny wyciągnął do Nika przyjacielsko szeroką dłoń. – Panicze z Niżpola? Wielki to zaszczyt dla naszego lasu, goście rzadko widziani!

Nik nachylił się nad rowem, patrząc uważnie:

– Właśnie szukamy takiej rośliny, co się nazywa „*cretinis forestis*¹²”, a nasz profesor gdzieś nam zniknął w tych poszukiwaniach. Strasznie jest zapalony do botaniki i w ogóle wszystkiego. Wlazł kilka dni temu na drzewo, żeby złapać jakiegoś skorka, spadł i nogę sobie zwichnął. Czy wy, Siergiej Iwanyczu, nie spotkaliście go przypadkiem?

– Może i spotkał ja. Coś mi się tak mignęło w krzakach, że ja nawet i wołał, ale potem to mi się widział jakby zając.

– Bo to pewnie i był zając – powiedział Olek, spędzając batem muchy z końskich zadów.

– Ale my już pana musimy pożegnać – powiedział Nik, wyciągając do nadleśnego rękę – bo pan się spieszy do domu na kolację, a my musimy odszukać naszego profesora.

– Tak, tak, spieszno do domu – roześmiał się głupowato nadleśny. – To wy panicze nie chodźcie do „gimnazji”?

– Owszem, owszem. Ale widzi pan, trudno po rosyjsku, ja bo jestem strasznie do tego języka tępy, więc muszę mieć korepetytora. Nie to, co Olek, ten ho, ho! Daje sobie radę! Do widzenia panu. Ja już nawet znalazłem „*cretinis forestis*

¹² *cretinis forestis* – żartobliwy twór słowny udający nazwę łacińską przez zastosowanie odpowiednich końcówek wyrazów, a oznaczający „kretyn leśny”.
[przypis edytorski]

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.